№ 36. Warszawa, dnia 21 Kwietnia / 3 Maja 1872 roku. Tom I.—Rok I.



PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: **rocznie** rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, miesięcznie kop. 45.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Expedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartał: flor. 3 cent. 25; na prowincyi z przesyłką pocztową, flor. 3 cent. 7...
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 52.
W W. Ks. Poznanskiem: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, na prowincyi z przesyłką pocztową tal. 2 sgr. 7½.

POWIEŚCI I OPOWIADANIA

ERCKMANN-CHATRIANA.

(studyum literackie).

Dokończenie. (Ob. Nr. 35).



to zna-wieś choćby naszą i naszego wieśniaka, ten tylko ocenić potrafi niesłychany talent tego pisarza w opowiadaniu np. kolei, jakiemi pewno idea przenika w te warstwy, zdobywa sobie zwolenników i przeciwników i jakie tysiączne wpływy na jéj rozwój lub upadek działają.

Pod tym względem, pisarz nasz jest realistą czystéj wody (*), i niby na pozór nigdy nie wychodzi po nad sferę zwykłéj rzeczywistości. Próżnobyś tu szukał intryg zawikłanych, ogzaltowanych uniesień, dziewic namiętnych, które przebrane mogłyby być bohaterkami salonów, młodzieńców poetyzujących, starców tajemniczych.

Nie, Erckmanna bohaterki są zwykle zdrowe i silne, mają białe ciało i białe zęby i są doskonałemi gosposiami; bohaterowie, kowalami, drwalami, zegarmistrzami, kupcami, lepiéj lub gorzéj zbudowanemi, matki plotkarki, starzy egoiści. Najpoetyczniejszy z jego bohaterów często unosi się nad miską gorącéj kapusty ze słoniną, a opowiada o dobrém winie z taką werwą, że ci ślina do ust idzie.

Są to więc obrazy rzeczywistości, rzeczywistości najpospolitszéj, opowiadania o ludziach, którzy wegetują raczéj niż żyją. (?) A jednak rzecz się ma przeciwnie. Natchniony miłością swych postaci, wsparty znajomością głęboką tego, o czém mówi, silny wielkim talentem, pisarz francuzki w tém niby prozaicznéem i pracowitém życiu umiał odkryć rzeczy pełne poezyi—w tych ludziach zgniecionych pracą, bohaterów i myślicieli—w tych wioskach, dramata pełne grozy.

Sprobójcie po przeczytaniu denerwującego procesu à la Gaboriau, po szaleństwach Ponson'a du Terrail, lub po takiéj pani Bovary np., wziąć do ręki pierwsze lepsze opowiadanie Erckmanna. Kilka przeczytawszy stronic, uczujecie wrażenie takie, jakbyście z zaduszonéj dymem i hałasem kawiarni wyszli na świeże powietrze. Owieje was natychmiast miły, zdrowy powiew górskiego wiatru. Z wolna rozkochacie się w tych pełnych prawdy i życia postaciach. I nim dojdziecie do ostatniéj strony doznacie wszystkich uczuć, jakie dobre dzieło budzić zwykło. Razem z dziesięcioletnim Fritzlem będziecie dumni rozumem Scipia (psa) i doskonale podzielicie niesłychaną radość chłopczyny na wiadomość, że pies ten jego zostanie własnością. Razem ze starym Mojżeszem płakać będziecie nad śmiercią dziecka, niepokoić się o los dezertera, kłopotać o wódkę. Jeżeli z kulawym rekrutem pójdziecie za armią cesarza, włosy wam wstaną na widok bitwy pod Lutzen, Lipskiem lub Waterloo, a ów weteran ze strzaskanym krzyżem, żałujący w chwili zgonu, że niema siły zabić Blüchera, stać wam będzie długo przed oczyma. Jeżeli zaś zechcecie zobaczyć, jak to nowe idee przesiąkają do głębi, jak się wśród mass rozszerzają, jakie spotykają trudności i jak kiełkują, to przeczytajcie: „Histoire d'un Paysan," kapitalne dzieło Erckmann-Chatriana, będące czterotomowym obrazem epoki od 1785 do 1815 i w wybornych rysach malujące, jak się wypadki paryzkie odbijały wśród ludu alzackiego.

Bo prócz innych przymiotów Erckmann-Chatrian jest pisarzem tendencyjnym w najszlachetniejszém tego wyrazu znaczeniu. Naczelném jego zadaniem zdaje się być wyleczenie ludu francuzkiego z gorączki militarnéj, z choroby na sławę i chwałę. Pokazuje on im, co chwila wszystkie klęski wojny, straszne jéj skutki, okropne epizody, fatalny wpływ, jaki ona na los mieszkańców, na rodzinę i dobry byt wywiera. Stara się wykazać, że owa chwała militarna jest fikcyą,

(*) Zgadzając się w zupełności na zdanie autora niniejszego artykułu, uważamy za stósowne dodać, że niektóre wytworniejsze umysły nie mogą się pogodzić z owym *realizmem* Erckmann-Chatriana, o którym p. J. N. nawiasowo tylko wspomniał. Barwa realizmu daje się istotnie spostrzegać w utalentowanym powieściopisarzu w jakiémś dziwném choć nie odstręczającém lubowaniu się w drobiazgowych szczegółach *życia*, które autor z całą miłością studyuje, nie cofając się przed najzwyczajniejszemi, codziennemi jego sprawami. „Ach! jak dobrze, jak rozkosznie żyć na świecie!" oto wykrzyknik, który często usłyszymy z ust bohaterów Erckmanna; ale okrzyk ten wydobywa się zwykle z piersi przepełnionéj poczuciem piękna w życiu. Piękno to nie rozumowane, nie ujęte w formuły estetyki, o któréj działacze w powieściach Erckmanna nie mają wyobrażenia, drga dla nich w naturze, bo i sam autor kocha naturę nad wszystko, z rozkoszą śledzi w niéj tętna życia, kreśląc obrazy, które pod względem poezyi, nie wiele równych sobie znajdą w literaturze francuzkiéj. To rozmiłowanie się w naturze, zsolidaryzowanie się z jéj życiem, zabarwia nawet filozofię Erckmanna lekkim odcieniem panteizmu. Powieściopisarz alzacki nie jest przecież, jak niektórzy twierdzą, samolubnym mieszczaninem kochającym się w *życiu dla życia:* napisawszy pełną patryotyzmu „Histoire d'un Paysan," którą rozbierał autor niniejszego studyum, przyjmując gorący udział w rozpaczliwych wysiłkach zwyciężonéj Francyi, dowiódł, że jeśli ceni rozkosze życia, nie okupuje ich nigdy utratą godności.

(Prz. Redak.)

za którą lud grubo płaci, ale która mu nic nie przynosi. I zdrowemu rozsądkowi stawia co chwila w rozmaitych formach to pytanie bez odpowiedzi: „Czyż nie jest szaleństwem, żeby ludzie nieznający się, nie mający nic sobie do wyrzucenia, mordowali się wściekle, jak dzikie zwierzęta, nie wiedząc dla czego i o co?” Ale tendencya ta nie przechodzi granic. Erckmann walczy tylko przeciwko wojnom dla zaboru lub chwały prowadzonym — tam gdzie idzie o obronę granic Francyi, najwięksi przeciwnicy wojny, najrozsądniejsi jego bohaterowie, stają się zapaleńcami i pierwsi idą w pole. Prócz tego chce on z jednéj strony zapoznać intelligencyę z rzeczywistemi pojęciami, skłonnościami i dążnościami ludu wiejskiego i małego mieszczaństwa, z drugiéj zaś, w sposób przystępny i sympatyczny wykłada temu ludowi i tym mieszczanom ich prawa i obowiązki, podnosi w nich poczucie godności własnéj, zachęca do zajmowania się sprawami kraju, do oświaty i pracy. Obok tego zasiewa powoli zdrowe pojęcia polityczne i socyalne, uczy co jest obowiązkiem a co nadużyciem, i uderza we wszystkie szlachetne strony serca ludzkiego.

Możnaż donioślej i szlachetniéj pojmować zadanie powieści? Dla tego też mają one takie powodzenie i taki pokup szalony.

Najobszerniejszém i największéj doniosłości jest wyżéj wspomnione dzieło 4ro tomowe zatytułowane: „Histoire d'un Paysan.” Jest to po prostu historya wielkiéj rewolucyi francuzkiéj, opowiedziana przez chłopa alzackiego, i oceniona z jego stanowiska.

Michel, stary chłop, którego wielki ten przewrót zastał młodzieńcem, jest tu opowiadaczem. Syn ubogiego koszykarza z małéj wioski pod Falsburgiem położonéj, opisuje on najprzód stan ludu i mieszczaństwa przed rewolucyą, olbrzymie ciężary ponoszone przezeń, straszną jego nędzę i ciemnotę; potém życie to wiejskie z biedą jego i nędzą. Biedni rodzice Michela winni są wiejskiemu lichwiarzowi kilkadziesiąt franków, i to jest ich utrapieniem. Proszą więc Boga, by synowie dorośli, bo można ich do wojska sprzedać i lichwiarza zapłacić. Wszystkie obrazy nędzy, głodu, rozpaczy, zezwierzęcenia opisane ze spokojem i prawdą, są rzeczywiście przerażające. Tu i owdzie jednak świeci obrazek z życia miejskiego wycięty pełny powabu i wesołości. Powoli jednak umysły zaczynają się ruszać, obudzać. Niejaki Chauvel, jedna z najpiękniejszych postaci powieści, kolporter a później członek zgromadzenia narodowego i konwencyi, rozrzuca broszury i pisma.

Z niesłychaną prawdą maluje autor to odbicie się wielkiéj katastrofy na różne warstwy ludu, te fluksa i refluksa zapału, te walki zacięte między stronnikami dwóch obozów, to rozwijanie się pojęć o prawach, o obowiązkach, o godności i własnéj sile, wierność zasadom jednych, chwiejność i cynizm innych. Nareszcie przychodzi inwazya.

Nasz Michel ze łzami w oczach opuszcza kochankę, walczy pod Custinem, wytrzymuje blokadę Moguncyi, odbywa straszną wandejską kampanię, i chory, ranny, krwią plujący wraca, by umrzeć wśród rodziny. Obrazy bitew, marszów, cierpień téj armii, co zwyciężała bez butów i karabinów, walka tęsknoty do domku z poczuciem obowiązku, żal po swoich i cicha rozpacz wśród ciężkich marszów a zaraz szalone męztwo na polu bitwy, typy starych wiarusów i młodych entuzyastów, wszystko to odmalowane z nieposполitą sztuką i prawdą. Okropności wojny tendencyjnie silnemi uwydatnione barwami, bo autor i jego bohater mają zbyt dużo zdrowego rozsądku, żeby lubili rzezie dla sławy i chwały.

Prawdziwy jest i niesłychanie charakterystyczny zwrót w pojęciach i przekonaniach bohatera, gdy wyzdrowiawszy, żeni się i zaczyna dorabiać. Ze wstydem wprawdzie, ale się przyznaje, że ochłonął bardzo, że choć nie zapomniał praw człowieka i nie przestał nienawidzieć szlachty, pragnie przecież gorąco pokoju i porządku. Znakomite jest także uwydatnienie tego zmęczenia i znużenia, jakie terroryzm sprowadził, objawy reakcyi, jaka potém nastąpiła, surowy sąd naszego chłopa o Napoleonie i gwałtowniejsza jeszcze niechęć ku restauracyi. Rozumowań tu pełno, ale nie nużą one ani nudzą, bo wszędzie wieje z nich zdrowy, naturalny chłopski rozum, czyli tak zwany *bon sens*.

W *Rekrucie* i *Waterloo* chciał Erckmann odmalować straszną grozę wojny, obrzydzić ją i ohydzić. Ale pozostał Francuzem do końca. Tu bohater, trochę kulawy i bardzo spokojnego usposobienia chłopiec, co prawda tchórz nawet, przytém zakochany w ładnéj Katarzynie, z płaczem, ze drżeniem, z przekleństwem wstępuje w szeregi zdziesiątkowane Napoleona. Gdyby nie opiekun i nie kochanka, zdezerterowałby z pewnością. Ale gdy armaty huczeć poczną, gdy głos dowódców zakomenderuje: „naprzód!” wtedy ten tchórz staje się bohaterem, wpada we wściekłość i bije się jak lew.

Szczegóły bitwy pod Lutzenem, obraz walki pod Lagny, są mistrzowskiemi obrazami tego rodzaju i pióro nie jest w stanie plastyczniéj tych rzeczy uwydatnić, co tém dziwniejsza, że styl ciągle utrzymano pełny prostoty i nigdzie w deklamacyę nie wpada.

Najudatniejszą jednak może artystyczną pracą tego autora, jest jednotomowe opowiadanie p. t. *Blokada*. Głos tu ma stary Mojżesz, kupiec handlujący żelazem, a później Szynkarz w Phalsburgu, w czasie blokady téj fortecy przez sprzymierzonych w 1814 r.

Może nikt tak doskonale nie odgadł żyda, jak nasz autor. Dusza to poczciwa, instynkt szlachetny, ale żyd. Lubi Francyę, ale jéj nie kocha; życzy jéj dobrze, ale nieby nie poświęcił dla niéj Kiedy chłop Michel i rzemieślnik Józef szli ze łzami, ale szli, bo Francya była w potrzebie, Mojżesz dawno synów do Ameryki wyprawił, bo „lepiéj robić pieniądze, niż sobie dać kości łamać Bóg wie za co.“ Wszystkiém dla niego jest rodzina, a namiętnością handel i zysk. Opowiadanie tego żyda jest naprzemian rzewne i komiczne, czasem tragiczne nawet. Scena ze śmiercią wnuka do takich należy, ale najpiękniejszą jest może kłopot Mojżesza z dezerterem. W czasie nocnego patrolu, żydek nasz dostrzegł uciekającego żołnierza i wskazał go. Schwytanego postawiono przed sąd wojenny. Mojżesz w rozpaczy! krew człowieka, którego winą było to, co Mojżesz byłby sam na jego miejscu zrobił, ma spaść na jego sumienie. Zacny żyd szaleje z żalu i raz pierwszy nie żałuje pieniędzy.

Prócz tych trzech powieści autor nasz napisał wiele innych jeszcze, większych i mniejszych, wszystkie w tym mniéj więcéj rodzaju i zawsze z tendencyą wyraźną i zdrową, która jednak nie koszlawi i nie zmniejsza artystycznéj wartości dzieła.

Jego *Madame Thérèse* jest niejako ucieleśnieniem potęgi idei. Ranna w bitwie młoda markietanka republikańskiéj armii, obudza na korzyść Rzeczypospolitéj całą wioskę niemiecką zaśniedziałą dotąd w uwielbieniu istniejącego porządku. Pełne wdzięku obrazki lata i zimy wiejskiéj, doskonałe typy, upiększają ten przedmiot prosty i skromny.

W ogólności, w opowiadaniach Erckmann-Chatriana, kobiety zajmują podniosłą rolę. Nie robi on z nich emancypowanych wieśniaczek, przewodniczek partyi, ale są one zwykle czulsze na szlachetne prądy, prędzéj je pojmują i zawsze są niejako podporą kochanków i mężów.

Daniel Rock zakrawa na fantazyę, daje nam typ upartości, zachowawczości, jaka się często w ludzie napotyka, posuniętéj do mistycyzmu, a opłaconéj bohaterską śmiercią. *Historya nauczyciela wiejskiego* jest ciężkim wyrzutem zrobionym Francyi za nędzę tych, którym wychowanie dzieci swych powierza. *Le fou Yegoff*, jest pełną głębokiego znaczenia fantazyą, a liczne drobniejsze rzeczy odznaczają się oryginalnym humorem i zawsze pewném głębszém znaczeniem.

Oto słów kilka, któremi chciałem zwrócić uwagę czytelników na jednego z najgodniejszych poznania, a śmiałbym powiedzieć, naśladowania nawet, nowoczesnych powieściarzy francuzkich. Daj Boże, żeby się u nas wytworzyła szkoła podobna, nie w tendencyi i idei, bo to wszędzie własne, ale co do wewnętrznych i zewnętrznych przymiotów. Takie prawdziwe, plastyczne, pełne prawdy i naturalności obrazy z życia ludowego, takie wprowadzenie warstw intelligentnych w sam rdzeń tego życia, pokazanie im go w rzeczywistém świetle, wydobycie na wierzch i skarbów i ran jego ukrytych, te nareszcie studya nad fermentacyą różnych idei i pojęć jaka się w tych prostych nerwach i głowach odbywa, nie byłyby zapewne bez pożytku i dla literatury i dla jaśniejszéj znajomości samych siebie. Powieść odmładniałaby, dotknąwszy tych nieruszonych dotąd skarbków, a skąpana w krynicznéj téj wodzie, nabrałaby czerstwości i świeżości, jaką się odznaczają utwory Erckmanna. Smak publiczności możeby się także poprawił, przekonawszy się, że nietylko papryka drażni podniebienia, że najprostszy obrazek dziewczęcia z wiadrami i chłopca z siekierą, stosownie oświecony, może wzruszyć i podrażnić najbardziéj zużyte nerwy.

Nim to się zaś stanie wartoby było, żeby wprawne jakie pióro przedsięwzięło przekład dzieł Erckmann-Chatriana, które są jeszcze nietłómaczone, a mają przeważnie artystyczne, więc ogólzalety.

J. N.

HEROD-BABA

OPOWIADANIE DZIADKA

spisane przez

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Dokończenie. *(Ob. Nr. 35).*

Ledwie się konie zatrzymały w ganku, Zygmunt drżący spuścił się z kozłów oddając lejce przyjacielowi; przyszedł do drzwiczek... dzień był szary... lecz mimo tego mroku, Elżusia spojrzawszy nań poznała natychmiast.

Zygmuś przykląkł — na stopień wyciągniętą nóżkę całował.

— Elżusiu! albo mi przebaczysz i przyjmiesz, lub idę i topię się w stawie! Nie chcę dłużéj żyć bez ciebie...

To mówiąc nie opierającą się mu i powolną wziął na ręce... i z tym drogim ciężarem wszedł na ganek... Borodzicz słyszał tylko szept cichy, potém do drzwi stukanie... potém otwierające

się podwoje i kaszel zaspanego sługi... i nic więcéj. Musiał bowiem sam do stajni odjechać.

Nazajutrz stryj Eligi obudził się około godziny dziesiątéj, przetarł oczy, obejrzał się—długo ani rozpoznać gdzie jest, ani zrozumieć dla czego tam się znajduje, nie umiał. Powoli wspomnienia dnia wczorajszego powracać mu zaczęły... i jasno widział całą swą przeszłość aż do czarnéj miodu butelki... Ta zasłaniała mu ciąg dalszy... aż do momentu, w którym go na bardzo skromny barszczyk kwaśny, używany w podobnych wypadkach, zaproszono... Towarzystwo całe, przebywszy noc na skokach i ucztowaniu, pokrzepiało się śniadaniem.

Niespokojny Eligi począł szukać synowicy, a znalazł tylko nad talerzem barszczu Mioduszewskiego.

— Dzień dobry, stryjaszku Eligi! a co? barszczyku?.. doskonały!

— Gdzie ona?

— Kto? Elżbieta, królowo nasza! E! e! e! dawno w domu!

— Jakto! wyjechała? bezemnie?

— Jeszcze wczoraj...

— Bezemnie! powtórzył niespokojny Eligi — bezemnie?

— A jakże cię było wziąć, kiedyśmy cię budzili we czterech, trąbili w uszy smalili finfy pod nosem, oblewali wodą! leżałeś jak kamień.

— A to proszę!.. to proszę! rozpaczająco rzekł Eligi—na sen mi dano—czy co?

— Ja tam nie wiem, ale spałeś jak bobak...

— Ale z kimże pojechała? z kim pojechała?

— Oto się nie frasuj, lepszego stróża wybrać sobie nie mogła nad tego, który ją tam odwiózł...

— Przecię któż?

— Naturalnie mąż!

— Jaki mąż! zawołał Eligi—co asindziéj pleciesz?..

— *Verbum nobile*, że mąż ją powiózł—za to ci mogę ręczyć. Wasz Staszuk pijaniuteńki leży jeszcze w wozowni... Nie było sposobu, Zygmunt się podjął wieźć, a wiesz, że doskonale wozi... i pojechał.

— No, to się skończyło! zawołał Eligi ręce załamując—on już tam zostanie.

— Myślisz? rzekł Mioduszewski...

— E! niezawodnie! Jeśli ją powiózł, rzecz skończona.

— Zjedźże barszczu, ja cię wezmę na swoją bryczkę, pojedziemy chyba zobaczyć co się tam u nich dzieje...

— Zawsze mówiłem do wczorajszego dnia—odezwał się smutnie Eligi—Herod-baba!—a no, im nigdy wierzyć nie można, w końcu każda zmięknie... no, i ta trzy lata męczyła się, odpychała... odgrażała... a teraz...

Machnął ręką i siadł do barszczu... Frasunek nie przeszkodził mu zjeść głęboki talerz do dna, zakąsić ogórkiem kwaśnym, poleconym wielce w podobnych wypadkach, zapić to wódką gdańską i zajeść piernikiem.

Dobili się potém do stajni, do koni i bryczki, i pojechali. Nie spieszyli wszakże tak bardzo, bo woźnica ich po trudach nocy burzliwéj drzemał... i dopiero dobrze z południa, gdy apetyt już mocno się obu czuć dawał, ujrzeli dworek Piętków.

— No—jak ci się zdaje?—spytał Mioduszewski: zastaniemy my tam Zygmunta czy nie? przyjęty czy wziął odprawę?

Eligi w palce stukał.

— Kto go wie? z kobietami mosanie, nigdy niczego pewnym być nie można...

Ale już we wrotach nie było wątpliwości o Zygmuncie, bo oboje państwo Piętkowie stali w ganku i witali z dala poznanego Mioduszewskiego.

Temu poczciwcowi aż się coś w oczach mgliło.

— Niechże będzie panu Bogu chwała! zawołał—no, tak, to lubię... Vivant państwo młodzi! dodał wyskakując w ganek. Ale bez wesela się tu nie obejdzie... wesele być musi... od tego nie odstępuję... Ślubu nie potrzeba... a poskakać i poradować się z powrotu syna marnotrawnego musimy! Królowo moja — rzekł całując w rękę Elżusię—gdybym ja się w to nie wdał, Zygmuntowi otuchy nie dodał, spisku nie uknuł, bylibyście jeszcze nie wiem ile lat się męczyli...

Zygmunt rzucił mu się na szyję.

— Ale kochanie moje—szepnął Mioduszewski w ucho—jak mi ty teraz jeszcze jakie głupstwo zmalujesz, klnę ci się na wszystko najświętsze że sam za tę kobietę mścić się będę...

— Nie bój się — miałem ja za swoje! odparł Zygmunt...

W tydzień potém istotnie u państwa Piętków uczta była nielada, caluteńkie sąsiedztwo, wszyscy, którzy na weselu u Cewków byli, musieli tu jechać na drugie wesele— które ani srebrném, ani złotém jeszcze nie mogło się nazwać, lecz chyba pokótném. Znajomi i sąsiedzi Piętków mogą poświadczyć, że odtąd żyli z sobą w miłości i zgodzie najprzykładniejszéj; utrzymywano nawet, iż Piętka siedział pod pantoflem, tak żonie ulegał i był posłusznym... Stryj Eligi w kilka lat potém wrócił do swéj dawnéj definicyi i szeptał po cichu:—Herod-baba.

KONIEC.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Dokończenie (Ob. Nr. 27).

Koncerty pp. Dawydowa i Wurma. — Ogólne zgromadzenie towarzystwa muzycznego. — Koncert p. Władysława Żeleńskiego. —

Dzień 19 kwietnia dowiódł nam że posiadamy znakomitego kompozytora mogącego jaśnieć nietylko u nas lecz nawet w całéj Europie. W dniu tym był koncert pana Władysława Żeleńskiego, wyłącznie z własnych jego utworow złożony.

Taka chwila epokę w dziejach sztuki naszéj stanowi. Podobne chwile bardzo rzadko się trafiają, bo też i nie często tacy kompozytorowie się rodzą.

Chwili takiéj nie pamiętamy od czasów pierwszego wykonania „Mildy“.

Koncert ten odbył się w sali Resursy Obywatelskiéj. Zdziwią się zapewne czytelnicy, że koncert tak wielkiéj doniosłości odbył się w Resursie nie zaś w Towarzystwie Muzyczném. I myśmy się dziwili, ale cóż na to poradzić? Widać towarzystwo muzyczne za właściwsze i bardziéj interesujące uważa sprowadzanie z wielkim kosztem Reinecke'go Bullow'a niż popieranie Moniuszki lub Żeleńskiego. Musi to być dobrze i słusznie skoro tak postąpiono. Schyliwszy więc czoło przed tą nieomylnością wrócimy do koncertu.

Talent kompozytorski pana Żeleńskiego różnostronnie nam na tym koncercie się wykazał. Słyszeliśmy tam dwie kompozycye orkiestrowe, jednę fortepianową i sześć śpiewów. Sami nie wiemy od czego zacząć mamy, bo wszystkie rodzaje zarówno nas wabią i pociągają. Wybaczą czytelnicy że systematycznie rozbierać tego koncertu nie będziemy. Nieraz jakaś uwaga przy jednéj kompozycyi zrobiona zmusi nas do wycieczki ku innéj, a potém znowu napowrót. Nie chodzi nam bowiem o ocenienie każdéj kompozycyi oddzielnie, lecz bardziej o określenie i ocenienie głównych cech talentu kompozytora.

Pan Żeleński jest kompozytorem dojrzałym, a co ważniejsza, samoistnym i oryginalnym. We wszystkich kompozycyach jego widać że każdą myśl snuł z siebie. To też każda myśl jego w muzyce wyrażona napiętnowana jest stemplem, na którym jego *ja* wiernie się maluje. Każda myśl jego, bez względu na jéj charakter, nosi cechę szerokiéj swobody ducha, sięga śmiało równie w dziedzinie czasu jak przestrzeni. Jest to hulaszczość ducha i myśli i ona to właśnie nadaje tę odrębną zupełnie cechę wszystkim jego utworom. Fantazyą ma bujną i rozległą. Malując tonami swe pomysły, tak umiejętnie w tony ją obleka, iż w każdéj kompozycyi widać że je wiernie oddaje w ten sam sposób w jaki się one pierwotnie fantazyi jego przedstawiły. Często się zdarza że kompozytor ma wzniosłe pomysły, lecz brak mu środków do wydobycia ich z siebie i udzielenia światowi zewnętrznemu. Pan Żeleński przeciwnie nadzwyczaj jest obfitym w wynalazczość środków do wypowiedzenia swych myśli. Z tego powodu żadna myśl jego nie jest na zatracenie narażoną. W chwili bowiem kiedy się ona w umyśle jego rodzi, natychmiast i środek do jéj wypowiedzenia pod rękę mu się nieproszony podsuwa.

Możeby się tu dała zastosować klassyczna maksyma przez Boileau wypowiedziana:

„Ce que l'on conçoit bien, s'enonçe clairement,
„Et les mots pour le dire arrivent aisément".

Ale do tego żeby te wszystkie środki mieć ku swemu rozporządzeniu, potrzeba je znać z największą dokładnością w najdrobniejszych szczegółach. A rzadko kto z kompozytorów posiada tak dokładną i drobiazgową znajomość dźwięczności całéj skali wszystkich instrumentów. Bo nie dość jest znać ogólną charakterystykę instrumentów, każdy bowiem instrument w rozmaitych skalach rozmaity też charakter i koloryt posiada. Potrzeba więc znać i pamiętać to wszystko, żeby w danym razie wiedzieć dokąd po środek się udać.

Otóż pan Żeleński wszystkie te szczegóły w zadziwiający sposób w chwili tworzenia ma zawsze w swéj pamięci przytomne i skupione. Wie on który ton, na którym instrumencie i w któréj oktawie wydobyty może mu udzielić koloryt do do jego rysunku potrzebny. To go właśnie czyni władcą armii potężnéj zawsze na rozkazy jego gotowéj, a która go nigdy nie zawodzi. Dziwnie też umiejętnie a zręcznie pan Żeleński postępuje z przenoszeniem myśli z jednéj warstwy orkiestralnéj do drugiéj. Dla innych kompozytorów stanowi to trudność niepospolitą; u niego zaś tak to łatwo się odbywa, że słuchacz żadnéj przerwy w tem nie czuje. Umiejętność połączenia dwóch takich warstw, a nakoniec potęga z jaką wybucha w punkcie kulminacyjnym, łączącym wszystkie warstwy z sobą,—wszystko to razem wzięte czyni pana Żeleńskiego kompozytorem znakomitym tak pod względem głębokości i dojrzałości pomysłów, jak i umiejętności ich wcielania. Ale zbytek środków, równie jak ich niedostatek może być szkodliwym. Pan Żeliński takie bogactwa środków posiadając, czasem je nierozmyślnie zbyt marnuje. Niekiedy pracowitością obrobienia do tego stopnia swe utwory przeładowywa, iż nawet to mu za wadę poczytać można.

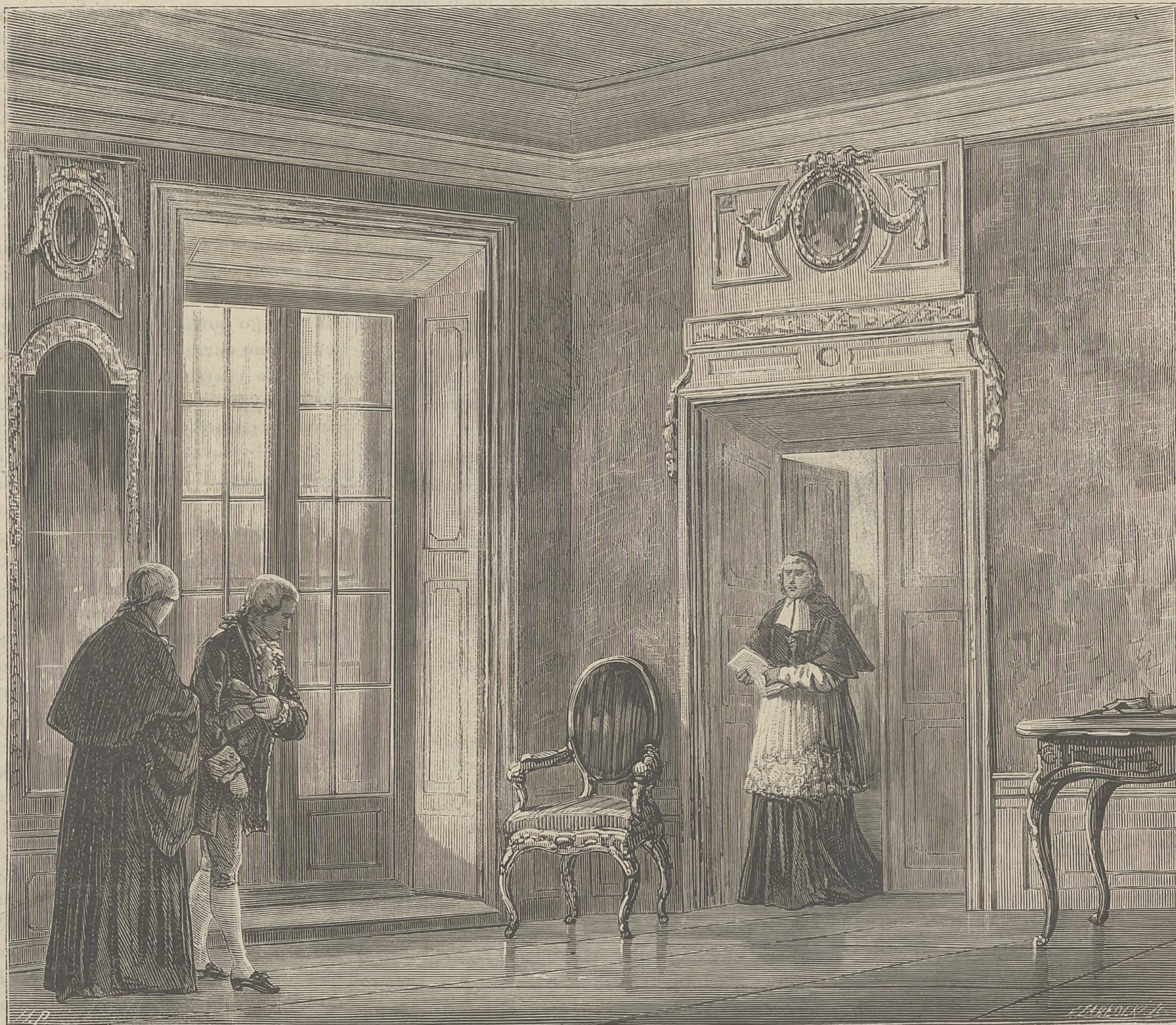
Czasem rys jeden, kontur dostateczne są do wypowiedzenia myśli kompozytora,—resztę słuchaczowi wyobraźnia dopowie. Pan Żeleński nigdy się na tę domyślność słuchacza nie spuszcza. Każdy szczegół drobiazgowo opracowywa do tego stopnia, że drobiazgowość ta aż nęka i nuży niekiedy słuchacza. Jest to może jedyna wada jakąśmy w kompozycyach pana Żeleńskiego dostrzegli.

Oto jest ogólne ocenienie wartości kompozytorskiéj pana Żeleńskiego. Przejdźmy teraz do szczegółów, o ile ich pamięć nasza dostarczyć zdoła.

Kleberówna zbyt cicho śpiewała. Ależ przecie siłę fortepianu można zmitygować, a śpiewaczka wzmocnić głosu swego nie mogła, bo ma go słabym z natury. Zresztą nie śpiew do fortepianu, lecz fortepian do śpiewu stosować się powinien, wtedy nawet, kiedy sam kompozytor akompaniuje.

Także trzy śpiewy wykonane przez pana Filleborna bardzo są udatne i zajmujące mianowicie w przygrywkach, którym pan Żeleński zwykle wypowiedzenie najważniejszych swych myśli powierza, co się dzieje niekiedy z uszczerbkiem roli śpiewaka. Miłe i zajmujące są czasem nie mniéj być musiał przykrym dla kompozytora jak i dla słuchaczów.

„Sonata" (op. 20) na fortepian jest dziełem pełném szlachetności, dobrego smaku, nic pospolitego, nic trywialnego nie zawierającém. Pomimo tego, że pan Żeleński ma ogromną zdolność szerokiego swych pomysłów rozwijania, wyznać musimy, że zdaniem naszém, oba Allegra w „Sonacie," mianowicie pierwsza, są trochę za mało rozwinięte. Adagio z waryacyami jest czarującéj piękności i pod ręką artysty ze smakiem wysoko wykształconym mogłoby wywrzeć na słuchaczów wrażenie znakomite. W wykonaniu waryacyi



Salony XVIII wieku w pałacu dawniéj Słuszków.

Trzy śpiewy przez pannę Kleberowną wykonane mnóstwo mają wdzięku, chociaż „Skowronek" trochę jest za martwy. „Mój kwiatek" i „Posyłka" mają więcéj ruchu i życia, a więc jako efektowniejsze powinnyby, zdaniem naszém, po „Skowronku" nie zaś przed nim być wykonane. W śpiewie „Mój kwiatek" akompaniament jest bardzo ładny i zajmujący lecz właśnie należy do tych kompozycyi przeładowanych, o których wspominaliśmy.

Musimy zrobić uwagę, że pan Żeleński zbyt silnie pannie Kleberównie akompaniował. Możnaby przeciwko temu powiedzieć, że to panna kaprysy wielkich śpiewaków. Nie tak wprawdzie one są miłe jak kaprysy pięknych kobiet, ale w każdym razie znoszą się chętnie, bo zwykle są okupywane wielkiemi przyjemnościami. Nie wszędzie jednak znośnemi być mogą, mianowicie zaś tam, gdzie idzie o przedstawienie właściwe wielkich kompozycyi. W śpiewie „Pod okienkiem," w chwili téj kiedy właśnie moglibyśmy uchwycić całą doniosłość myśli kompozytora, równie jak zgłębić wyrafinowane a oryginalne modulacye, pan Filleborn po pierwszéj strofce nie chciał śpiewać daléj, obdarzywszy nas w zamian wdzięcznym ukłonem. Zdaje się, że kaprys taki przez pana Zarzyckiego brakło urozmaicenia, kontrastów i wybitnego akcentowania, którego charakter saméj kompozycyi domaga się koniecznie. Brak tego spowodował jednostronność w traktowaniu, a więc monotonność. Słowem wykonanie „Sonaty" było mdłém i bezbarwném. Zbywało mu na niezbędnéj wspaniałości, potędze i sile. Scherzo, jakkolwiek nosi nazwę Vivace, grane było za prędko. We wszystkich kompozycyach pana Żeleńskiego wpływ Schumana wcale nie dwuznacznie się okazuje.

Najwięksi kompozytorowie wpływom podobnym podlegają i tak to jest powszechnie wiado-

mém, iż nie potrzebujemy nawet do tego przykładów przytaczać. Najwidoczniejszym jednak u pana Żeleńskiego wpływ tén w waryacyach dopatrzyliśmy. Jedno tylko „W Tatrach" wolném jest zupełnie od niego.

Fantazya pastoralna „W Tatrach" jest kompozycyą wzniosłą, pięknie i szlachetnie uczutą i pomyślaną, a nie mniéj też pięknie i szczęśliwie utworzoną. Autor nie wstępując na fałszywe tory malowniczości, przez muzyków przyszłości wyznawane, odmalował w tonach wrażenia swéj duszy, jakie na niéj szczytne górskie widoki wycisnęły. W całéj fantazyi widać oryginalność pomysłów. W jedném tylko miejscu nieprzyjemnego wrażenia się dostaje. Nie znając partytury, oznaczyć dokładnie miejsca tego nie możemy, lecz pamiętamy że ustęp ten jest w tonacyi F twarde. Otóż w tym miejscu zjawia się niespodzianie kilka akordów zupełnie z charakterem całéj kompozycyi sprzecznych, a przypominających wyraźnie charakter utworów Mendelssohna. Wyznajemy że to psuje wrażenie przez uprzednią oryginalność wywołane, tém bardziéj, że wprowadzenie tych akordów niczém nie jest usprawiedliwione.

„Symfonia" (H miękkie) jest dziełem równie pod względem myśli jak i rozmiarów olbrzymiem. Nie dla tego jednak że w programie aż sześć jéj części jest wymienionych. Te sześć części pozornie tylko istnieją, gdyż dwie z nich są tylko wstępami do następnych. I tak Andante maestoso jest wstępem do Allegro cou brio, a drugie Andante maestoso takimże wstępem do ostatniego Allegro. Tym więc sposobem głównych części jest cztery. Pomimo to jednak kolosalne rozmiary téj „Symfonii" przywodzą na myśl sławny „Septuor" Bethovena. „Symfonia" ta wydaje się nam trochę za rozwlekłą. Może to uchodzić za zaletę, lecz dla nas jest to wadą. Rozwijanie obszerne każdéj myśli oddzielnie znakomitą w kompozytorze jest zaletą, lecz nagromadzanie zbyt wielkie coraz to nowych myśli nęka umysł słuchacza i utrudnia pojęcie całości. Autor w „Symfonii" zbyt jest polifonicznym. Często kilka naraz motywów przeprowadza, z czego czasem się tworzą wcale nieoczekiwane fugi.

Pan Żeleński miewając zwykle bardzo szczęśliwe instrumentacyjne pomysły, bywa czasem w zastósowaniu ich niepraktycznym. W Scherzo flet w passażach sekstowych nie mógł podołać wcale, bo ustęp ten za trudno dla instrumentu, a więc niewłaściwie jest napisany. Z tego to powodu artyści orkiestrowi przerażeni spotykanemi niejednokrotnie podobnemi trudnościami, często się mylili. Możemy powiedzieć żeśmy Scherza właściwie nie słyszeli, bo z powodu nagromadzenia zbytecznych trudności taki się do orkiestry wkradł nieporządek, iż nic zrozumieć nie podobna było.

Andante z całéj „Symfonii" najwięcéj się nam podobało. W jedném miejscu jego, a mianowicie gdzie dęte instrumenty mają niewielkie sola i pochód harmonijny się odbywa, szkoda że rysunek melodyi, równie jak podstawa harmonijna przypominają piękne Andante Schumana z kwartetu fortepianowego (Es twarde). Nie widzimy w tém bynajmniéj naśladownictwa, gdyż nie forma ale duch tylko obu utworów jest jednakowy, ale tak nawykliśmy w utworach pana Żeleńskiego spotykać samą oryginalność, że najmniejsza reminiscencya zaraz nas razi.

Są w „Symfonii" niektóre efekty orkiestrowe, które sądzimy, że kompozytor usłyszawszy je wykonane, sam zmieni. Oto naprzykład w pierwszéj części, w tak zwanym drugim motywie, jest melodya dość śpiewna i szeroka na skrzypce, która zaraz, bo w drugiéj połowie pierwszego taktu, wspartą jest, a raczéj nie wspartą, bo zagłuszoną całą massą brzmienności instrumentów dętych metalowych. Żeby właściwy efekt osiągnąć, toby wypadało albo ilość skrzypiec powiększyć, albo też zmniejszyć siłę akordu instrumentów dętych.

Zaletą jest niepospolitą w kompozytorze, kiedy siła, któréj wybuchu się oczekuje, rzeczywiście z całą gwałtownością wybucha. Ale wybuch taki w człowieku długo trwać nie może i nie powinien. Pan Żeleński zaś w chwilach podobnych zanadto długo bywa gwałtownym. A to męczy słuchaczów i w końcu czyni ich niezdolnemi do otrzymywania wrażeń właściwych. W jedném miejscu (prawdziwie przypomnieć sobie nie możemy czy to w „Symfonii," czy też w „Tatrach,") taką gwałtowność zbyt długo utrzymywał do tego stopnia, że przeraził i zagłuszył słuchaczów, postępując całemi kolumnami partytury. Umiejętność powstrzymania się w porę jest także w swoim rodzaju siłą. Co za pyszny i wspaniały ustęp znajduje się w 5-éj „Symfonii" (C miękkie) Beethovena, gdzie w ostatniéj części, jakby w zasadzce zachowane i przedtém nieużywane trzy puzony na raz z całą siłą wybuchają, a następnie w porę powstrzymane zostają. To też i efekt tam ogromny się osiąga.

Zaczepienie o tę „Symfonią" przypomina nam związek analogiczny, istniejący pomiędzy opracowaniem pierwszéj jéj części, a pierwszą częścią „Symfonii" pana Żeleńskiego. Wiadomo że rolą w orkiestrze instrumentów dętych jest utrzymywanie akordów, wszelkie zaś figuracye zwykle się powierza instrumentom rzniętym. Beethoven pozwolił sobie odstąpić od tego powszechnie przyjętego prawidła. Że zaś główny motyw w jego „Symfonii" (C miękkie) składa się tylko ze czterech nut w szybkiém tempo, więc z tego powodu przy rozwijaniu musiał być z kolei powierzony instrumentom dętym. Z tego we wspomnianéj Beethovena „Symfonii" wynikł ogromny passaż na dół w tercyach się posuwający, przez dwa fagoty odegrany.

Jeden szczegół podobnéj natury, to jest bardzo ruchliwy, w „Symfonii" pana Żeleńskiego naprowadził go na myśl (tak się przynajmniéj nam zdaje) przeprowadzenia go przez instrumenty dęte drewniane. Pan Żeleński bardzo zręcznie z tego zadania się wywiązał. Lecz pomimo to, że poszedł bez porównania daléj od Beethovena, bo większe dał opracowaniu swemu rozmiary, to miejsce żywo nam sytuacyą Beethovena przypomina.

Jeszcze słówko o dyrygowaniu pana Żeleńskiego. Rozumie się, że kompozytor najwłaściwsze tempo swym utworom nadaje. A jednak p. Żeleński nie tak jak trzeba swemi utworami dyrygował. Zdaniem naszém przyczyną tego jest brak powściągliwości. Pan Żeleński przy dyrygowaniu zbyt się zapala, unosi i bezustannie swą wyobraźnią wyprzedza wykonanie, podążając za myślą utworu. Tego dyrektorowi nie wolno. Dyrektor powinien być, jak wódz armią dowodzący: przytomnym a zimnym. Chociażby nawet w nim gorzał wulkan namiętności, to powinien w chwili ataku stłumić go w sobie, bo jedna chwila zapomnienia, a cała armia zgubiona. Pan Żeleński w każdym takcie jest zbyt niespokojnym, i tak ze swym niepokojem w końcu orkiestrę oswaja, że ta nareszcie nie zważa nań wcale. Oprócz tego wskazówki laseczką daje za późno, bo w chwili zaczęcia, a powinien je dawać przed tém. Niekiedy od pulpitu odchodzi, jak to było kiedy podszedł do waltorni. Prawda że jedno skrzydło armii na obecności wodza zyskać może, ale cóż się w téj chwili z resztą stać może, kiedy wódz ją opuścił?

Fuza.



Konie pociągowe. Kopia z aquarelli J. Kossaka. (patrz nr. 24 i 25).

WIADOMOŚĆ
O POSSESSYI W WARSZAWIE POD Nr. 2768
przy ulicy Aleksandrya,
dawniéj pałacem Słuszków zwanéj.

Dokończenie. (*Ob. Nr. 35*).

Następnie przez całe pół wieku głucho zupełnie w metrykach o tym dworcu. Prawdopodobnie Wyżycki biskup lub jego rodzeństwo przebywając blizko samego Lublina, częste mogli mieć stosunki z Tomaszem Dłuskim podkomorzym lubelskim; w skutek których tenże nabył ten pałac przed aktami lubelskiémi. Dopiero bowiem pod r. 1769 jest dowód w metrykach (ks. 236 f. 63) że podkomorzy ubezpieczył na téj posiadłości dług swój zltp. 20,000, jaki od Konstantego i Katarzyny Waligórskich zaciągnął.

Dłuski najdłużéj posiadał tę nieruchomość, ale zarazem w największych kataklizmach miasta i kraju. Mimo wielkiéj odległości swego urzędowania w lubelskiém, nie przepominał jednak o kościele i klasztorze Obserwantów, jako przy jego pałacu w Warszawie w sąsiedztwie będących. Mamy bowiem dowód w wyrokach lubelskich z roku 1787, że cysternę murowaną wraz z gruntem przytykającym do klasztoru podarował rzeczonym zakonnikom. (Oblaty Grodu Warszaw. ks. 31 pod d. 26 maja 1788 r.)

Po upadku kraju w roku 1794 Dłuski nie mając żadnych widoków dalszych dla siebie i rodzeństwa, które spólnie z nim posiadało tę nieruchomość, postanowił sprzedać ją na części podzieliwszy. Wedle akt magistratu tutejszego, podkomorzy w roku 1800 na mocy kontraktu prywatnie spisanego, rozdzielił ją na cztery oddzielne nieruchomości, których właścicielami mieli być: 1. Zienteccy małżonkowie, 2. Piorecki, 3. Franke i 4. Zamel. Najobszerniejszą część nabyli Zienteccy i kontrakt prywatnie spisany róbarowali w aktach ziemskich lubelskich d. 13 czerwca roku 1800.

Nowonabywcy posiadali ją do roku 1825. Wśród tego czasu kościół i klasztor Dominikanów Obserwantów rozwalono, dla postawienia kosztem Stanisława Staszica pałacu dziś zajmowanego przez gimnazyum. Przy budowie jego wielki spór powstał z Zienteckiemi o część dawnéj uliczki *Szodlaszewska* zwanéj, którą w części zajęli poprzednio Dominikanie przy budowie ich kościoła, a na reszcie małéj, Zienteccy wymurowali domek szczupły, za zezwoleniem władzy pruskiéj. Gdy przyszło o układ wynagrodzenia za ustąpienie tego kawałka, Zienteccy żądali tylko sposobem ugody dobrowolnéj zltp. 3,600. Rząd się nie zgodził na tę summę, poszło więc na drogę sądową. Staszic z magistratem warszawskim popierali ile mogli. Lecz sądy w podwójnéj kolei przez trzy instancye inaczéj zawyrokowały, a Rząd był zmuszony zapłacić Zienteckim, w miejsce powyższéj summy zltp. 21,869 gr. 20, nie licząc stempli prenotowanych i kar sądowych.

Od Zienteckich nabyli tę posiadłość w r. 1825 Ignacy i Elżbieta z Jachowskich małżonkowie Stefanowiczowie. Poczém nieruchomość ta w r. 1832 poszła na subhastacyę. Ze spisanego protokółu zajęcia przez komornika dowiadujemy się: że korpus dawniéj pałac stanowiący miał wystawę i attykę z herbem, który bez wymienienia jego nazwy, następnie zniesiony został. Prawdopodobnie wedle opisu nam udzielonego, był to herb Rawicz rodowy familii Przyjemskich, jako godło tych co zbudowali przed laty ten pałac. Oprócz tego był jeszcze wówczas ganek murowany, wsparty na 6 słupach kamiennych i płytem piaskowym u góry przykrytych, a między słupami sztachety były żelazne. Wnętrze jego było jeszcze przyozdobione: wmurowanemi sześcioma wielkiemi lustrami w ramach złoconych, nad któremi unosiły się wazony olejno malowane w mur także wprawiane. Mieściło się także w nim kilka w murze obrazów olejno malowanych i 8 kominków szafiastych, a jeden z nich kamieniem wykładany. Wreszcie były tu jeszcze różne framugi, a nad jedną sztukaterya złocona; coby jednak oznaczała, spisujący komornik nie dodał, bo sam pewno nie wiedział.

W roku 1833 na publicznéj licytacyi utrzymał się Wolf Weinberg, który w roku 1836 odstąpił tę nieruchomość Franciszkowi Bernardowi, po którego śmierci dzieci jego stały się właścicielami téj posessyi aż do roku 1860.

W téj to epoce zacny obywatel warszawski Gustaw Mann, ożeniony z jedną z spółsukcessorek, założył w téj nieruchomości pierwszy w Warszawie zakład orthopedyczny dla ułomnych, który utrzymywał się tu od 1836 do 1845 przez lat dziesięć; poczém dla wielkich strat materyalnych został zwinięty.

W roku 1860 po wystawieniu téj nieruchomości w drodze działów na publiczną licytacyę, rząd nabył ją od dnia 1 czerwca roku 1860 w celu rozprzestrzenienia lokalności dla wydziału medyko-chirurgicznego, w pałacu sąsiednim gdzie dziś gimnazyum, chwilowo utworzonego.

W roku zaś bieżącym jak ogłoszono w pismach, ma się tu mieścić w téj nieruchomości, tyle użyteczny dla Warszawy i kraju zakład leczniczy dla dzieci doktora Sikorskiego, który przed parą laty przy ulicy Solnéj, niedawno poraz pierwszy przez tegoż w tém mieście założony został.

Nakoniec dworzec ten pamiętnym jest także pobytem kilku znakomitości literackich i osób zasłużonych dla kraju. Wedle udzielonego urzędowego aktu narodził się w tym gmachu słynny nasz pisarz Ignacy Józef Kraszewski dnia 28 lipca 1812 roku. Rodzicami chrzestnymi byli Jan Plenk i Anna Malska prawdopodobnie jego babka. W roku 1815 zamieszkiwał tu do swojéj śmierci zasłużony kapłan Jan Klemens Gotaszewski biskup ostatni Wigierski (1805—1820).

Wreszcie w roku 1815 przebywał tu kwaterą Henryk Milberg pułkownik, a następnie general i szef sztabu korpusu gwardyi b. w. p. i starościna Czacka żona słynnego Tadeusza Czackiego.

Aleksander Wejnert.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Na Dziś, pismo zbiorowe, poświęcone literaturze, naukom, sztuce, gospodarstwu krajowemu, handlowi i przemysłowi. Tom I. Kraków 1872, str. 446.

„Jedno *dziś* warto dwa *jutra*" — powiedział Franklin. Podobną myśl wyrażają słowa Augusta Cieszkowskiego: „Nie ma lepszéj rady *na jutro*, jak praca *na dziś*". Z powyższemi godłami ukazało się w Krakowie pismo zbiorowe *Na Dziś* zapowiadając tomy i serye dalsze. W piśmiennictwach żyjących pracami drobnemi i dorywczemi, z rozstrzelonym na tysiące drożyn kierunkiem. bez sformułowanych ostatecznie opinij i zbrojnych w poważne argumenta obozów, pisma zbiorowe stanowią ponętną i pożądaną formę wydawnictwa. Są to wiązanki większych kwiatków, różnobarwnych traw a czasami i zielska pasożytnego, prawdziwa *silva rerum*, niemająca pretensyi ani do jedności tendencyi, ani do systematyczności układu. Z takiego też stanowiska powinna zapatrywać się na nie i krytyka, zwracając przedewszystkiém uwagę na wartość prac pojedynczych, wchodzących w skład pisma. Dla tego i my podjąwszy się rozbioru krakowskiéj książki, przystępujemy od razu do oceny artykułów, które się na nią złożyły.

Otóż na pierwszych kartkach znajdujemy pamiętniki Dra Józefa Franka prof. b. uniwersytetu wileńskiego, streszczone i uzupełnione przez Dra Michała Homolickiego. Autentyczne pamiętniki Franka noszą tytuł: „*Mémoires biographiques de Jean Pierre Frank et de son fils Joseph redigés par le dernier. Ouvrage posthume, confié au chevalier Jean de Carro, docteur en méd., praticien à Carlsbad etc. 6 vol.*" — Po śmierci Franka szacowne te pamiętniki nabyte zostały przez Rajnolda hr. Tyzenhauza, a dziś są własnością Cesarskiego Towarzystwa Lekarskiego w Wilnie. Z tych tedy pamiętników ś. p. Dr. Homolicki ułożył artykuł, skreślając w nim to wszystko, co tylko znalazł o Wilnie i Litwie, a nadto uzupełniając wiele szczegółów z własnych wspomnień bo też był najprzód uczniem a późniéj kolegą i przyjacielem znakomitego Franka. Taka jest opinia redakcyi, — lecz to co znaleźliśmy w I tomie *Na Dziś*, niezupełnie odpowiedziało oczekiwaniom naszym. Czytelnik miałby prawo żądać jakiegokolwiek wstępu o stanie uniwersytetu i klinik w Wilnie przed professurą Franka: lecz o tém w artykule o którym mowa, nie ma najmniejszéj wzmianki. Po jałowéj polemice z autorami apologii Franka, Janem Rudominą i Ignacym Szydłowskim, i po ogólnéj charakterystyce Franka jako lekarza i filantropa, autor wymienia najważniejszą zasługę znakomitego patologa, mianowicie założenia Instytutu domowéj pomocy dla chorych czyli tak zwanéj kliniki wędrownéj (Clinicum ambulatorium), która następnie zamieniona została na „trzeci" albo „lekarski wydział Towarzystwa Dobroczynności". Z tego to wydziału tysiące ubogich chorych, zwłaszcza udających się o radę do kliniki, albo i w domu niemocą złożonych, otrzymywały lekarstwa, czasem i inny zasiłek. Z natchnienia téż Franka i za jego staraniem zawiązany został w r. 1808, jako odnoga „trzeciego wydziału" „Instytut Macierzyństwa", którego celem było z dobrowolnych ofiar i składek zaopatrywać pomocą sztuki i potrzebném wsparciem ubogie położnice, mężatki lub w ciągu już brzemienności owdowiałe,—„ale nigdy takie — dodaje Dr. H.—któreby przekroczywszy prawidła wstydu, znajdowały się w stanie blizkim rozpaczy. Żadna ze szlachetnych i dostojnych matron ani na jedną chwilę nie pozostałaby w takiém Towarzystwie, którego celem z obrazą moralności publicznéj byłoby wspieranie i niby ośmielanie bezwstydu i nierządu zwłaszcza przy rozpasanych i rozwiązłych obyczajach ówczesnéj młodzi. Już i tak nawet, pomimo wszelką ostrożność w ułożeniu ustaw „Zakładu Macierzyństwa", wyższa publiczność wileńska przyjęła dobroczynne to przedsięwzięcie z wielką obojętnością i niedowierzaniem, bo nawet z szyderstwem i przekąsami na karb założyciela. Lecz gdy w następnym roku dowiedziano się, że cesarz Napoleon I, z okoliczności małżeństwa swego z Maryą Ludwiką Rakuszanką, utworzył podobny zakład w Paryżu, dopieroż osypywano Franka pochwałami". — Do posługiwania „trzeciego wydziału" należało i bezpłatne zaszczepianie wakcyny dzieciom ubogich rodziców w mieście Wilnie. Na czém nie przestając Frank, 17 maja 1808 r., w rocznicę urodzin

doktora Jennera, założył „Instytut wakcynacyi", mający na celu upowszechnienie ochronnéj ospy po całym okolicznym kraju. Wszystkie instytucye pomienione utrzymywały się aż do roku 1819 przeważnie usiłowaniami Franka i zacnéj a pełnéj rzadkich talentów żony jego (Krystyny z Gerhardów), za pomocą amatorskich koncertów, oper i balów maskowych, urządzanych w tym celu. Sądziliśmy, że autor artykułu za nadto się rozszerzył o tym przedmiocie; wyliczając drobiazgowo programata koncertów, nazwiska osób biorących udział w takowych i t. d. Zdawałoby się, że mu więcéj chodziło o historyę muzyki wileńskiéj, niż o lekarskie i professorskie zasługi Franka. Wprawdzie opowiadanie nie przestaje być zajmującém; lecz główne złożenie zasłaniają drobiazgi. Anegdotyczne szczegóły o pobycie Catalani w Wilnie, o występowaniu samego Franka na muzykalnych wieczorach domowych i inne, czytają się z przyjemnością. Zabawną jest anegdota ściągająca się do amatorskiego przedstawienia opery Zingarellego „*Giuletta e Romeo*". Julią była pani Frankowa. Gdy późniéj Frank zapytywał żony: jakie smutne myśli przychodziły jéj do głowy w przeciągu półgodziny, które przepędzić musiała w trumnie?—

—„Myślałam, odpowiedziała, że po teatrze zapewne przyprowadzisz z sobą Tarquiniego (soprano), że obadwaj będziecie mieli wyśmienity apetyt, a jam zapomniała zostawić dyspozycyi względem wieczerzy". — Ciekawą też jest okoliczność, że w r. 1809 miejscowe środki wileńskie wystarczały na wykonanie wielkiéj „Kreacyi" Haydena, z podziwem i entuzyazmem znawców, którzy je w Wiedniu pod kierunkiem samego kompozytora słyszeli. Znaleźli się jednak i przyganiacze złośliwi. Krążył po rękach i z ust do ust przechodził jadowity dwuwierszyk:

„W Stworzeniu świata" opak poszły rzeczy:
„Doktor Haydna skaleczył, Hayden nędzę leczy".

Jest to alluzya do tego, że wykonanie „Kreacyi" przyniosło, gwoli ubogim chorym miasta, 3,000 r. sr. czystego zysku.

Ważniejsze są ustępy tyczące się postępowania znakomitego patologa z chorymi. W 1817 roku Frank utworzył klinikę ruchomą dla dzieci. Ubogie matki i piastunki przynosiły je podczas zwykłych wizyt klinicznych. Frank egzaminował je przed wszystkimi uczniami, udzielał rad matkom i dyktował przepisy na lekarstwa bezpłatne. Dzieci już wychodzące z niemowlęctwa umiał tak przygłaskać i ośmielić, że od razu oswajały się z nim i spoufalały. Do wstydzących się lub ociągających się z ukazaniem języka mawiał: „Aha! nie chcesz pokazać języka, bo zapewne go nie masz. Patrz, a ja go mam!" I pokazywał własny język; a dziecko szło natychmiast za tym przykładem. Niektóre powierzał w domowy dozór celniejszym ze swych uczniów. Przez co wszystko dawał im sposobności praktycznego obeznania się z chorobami dzieci, na które w nauczaniu teoretycznem największą zawsze zwracał uwagę, dziwiąc się i ubolewając, że ta tak ważna i istotna część usposobienia lekarskiego, po wielu szkołach puszczana bywa w zaniedbanie."

Nieocenione są jego *Prawidła wszystkiéj sztuki leczenia* (*Praxeos medicae universae praecepta*); marmuru godne wyrazy: „Niechaj będzie oblicze twoje pogodne, jednające ufność, zwiastujące nadzieję. Niechaj chory nic nie widzi ani słyszy, coby w nim niemiłe jakie albo przykre uczucie obudzić, coby jakie bolesne wspomnienie odnowić lub odświeżyć, a tém bardziéj coby płonną jaką obawę nasunąć lub trwogę grożącego niebezpieczeństwa powiększyć mogło... Nadewszystko zaś w tajemniejszą przyczynę złego przezorniéj wglądać i głębiéj wniknąć należy. Zali frasobliwy smutek, zali tłumione ciężkie osobiste lub domowe a zgryźliwe troski, albo zawiedzione nadzieje, alboli długotrwała, nieukojona żałość po stracie drogich osób, albo tęsknica do kraju lub rodziny, albo niepokoje lękliwego lub wyrzutami szarpanego sumienia, albo skrywany wstydem rozpaczliwy niedostatek i t. p. nie wywołały lub nie przedłużają choroby. Wtenczas to szczere współczucie, dodanie serca i odwagi, wlanie nadziei i moralnéj pociechy, przyjacielskie rady, przychylne a uprzejme usługi, wyjednanie, nastręczenie lub udzielenie materyalnego zasiłku, daleko więcéj nadadzą, niż najwytworniejsze z aptek przyprawy." Tu już Frank mistrzem był niezrównanym. Ze szczególniejszém upodobaniem i na lekcyach, i w klinice, i w wielkiém dziele swojém, lubił się rozwodzić o zbawiennym wpływie religii na stan zdrowia, wypełniane, mogłyby ochronić prawych jéj wyznawców od wielu niemocy ciała i srogich udręczeń ducha, które same stają się znowu obfitém źródłem najoporniejszych sztuce lekarskiéj chorób.

(*d. c. n.*)

Jubileusz Professora
Dr. ADAMOWICZA.

Donoszą nam z Wilna z dnia 13 kwietnia r. b. o obchodzie jubileuszowym pięćdziesięcio-letniego zawodu lekarskiego, prezesa wileńskiego towarzystwa lekarskiego profes. doktora Adamowicza, który będąc niegdyś uczniem, a następnie współtowarzyszem Jędrzeja Śniadeckiego, Francka i Bojanusa, jest dziś ostatnim pozostałym przy życiu uczonym ze świetnego grona nauczycielskiego wydziału lekarskiego byłéj wszechnicy wileńskiéj.

W przed dzień obchodu bliżsi znajomi i życzliwi tłumnie pospieszyli złożyć osobiste życzenia, a nazajutrz o południu zjawiło się całe grono lekarzy wojskowych i cywilnych z uroczystym powinszowaniem, przyczém najstarszy członek towarzystwa wręczył jubilatowi dyplom na honorowego członka, a młody astronom Berg miał stósowną przemowę po łacinie, na którą odpowiadając w tymże języku dr. Adamowicz nadmienił o stosunku medycyny do astronomii. Oprócz tego jubilat otrzymywał w ciągu całego dnia liczne powinszowania listowne i telegramy od uczonych: z Warszawy, Petersburga, Moskwy, Krakowa, Paryża, Drezna, Odessy, Kijowa i t. p., tudzież od rozmaitych towarzystw i korporacyj naukowych, z pomiędzy których nie jedno zaszczyciło jubilata dyplomem na członka honorowego.

Odezwa tow. naukowego krakowskiego brzmi następnie: „Kto dni życia liczył zasługą, kto bez względu na zmienne koleje pracując wytrwale dorzucał zebrane owoce do skarbnicy piśmiennictwa, kto był przewodnikiem młodszych, a wsparciem i pomocą cierpiącym tego imię głęboko zapisać się musiało w sercach tych wszystkich, którzy bliżéj lub daléj byli świadkami tego pięknego zawodu. My związani z tobą podwójnym węzłem koleżeństwa żywiąc w sobie to uczucie, tém większą mamy potrzebę otworzenia ci serc naszych i wynurzenia ci z ich głębi płynącego życzenia, aby uroczystość obecna, będąca świadectwem czci, która cię otacza, stała się zarazem wróżbą pomyślności i spokoju w dalszych oby jak najdłuższych dniach dobrze zasłużonego twojego żywota."

Warszawskie tow. lekarskie oprócz dyplomu na członka honorowego nadesłała dr. Adamowiczowi telegramm z życzeniami, podpisany przez wszystkich swoich członków.

O godzinie 5-téj po południu odbył się w sali wileńskiego klubu szlacheckiego na cześć jubilata obiad, w którym przyjęli udział najznakomitsi dygnitarze wileńscy, uczeni i całe grono lekarzy i aptekarzy miejscowych.

W parę dni po tym obrzędzie szanowny jubilat pisał do zamieszkałego obecnie w Warszawie przyjaciela swojego A. E. Odyńca: „W roku 1850 przysłałeś mi na wiązanie wygodny fotel z zapowiednią blizkich czasów, „że już nam tylko na nim przyjdzie gwarzyć i marzyć" za nim w końcu zaśniemy na wieki. Otóż pora ta przyszła już, dla mnie, jako dla pięćdziesięcio-letniego jubilata. Wzrosłem i dotrwałem w Wilnie, od którego mię ani osobiste widoki, ani świetne obietnice nie oderwały. Dla miłości nauki i pracy wyrzekłem się wielukorzyści zaszczytów tego świata, a siedząc dotąd i marząc na twoim fotelu nie tylko nie żałuję tego, lecz owszem doświadczam na sobie prawdy słów Szyllera, że tylko przyjaźń i praca są najtrwalszemi ideałami i ostatnią pociechą życia. To też i ziomek poety prof. Frerichs z Berlina w liście, który odebrałem w téj chwili, każe mi służyć jeszcze nauce i ludzkości na drodze, wskazanéj przez Pana Zastępów, jak się sam wyraził. Bieda tylko że choć serce gorące, ręka stygnie i drży, że nawet nie jestem wstanie odpisywać łaskawym na mnie, którzy mi w tych dniach z różnych stron kraju i z zagranicy, a między innemi i Warszawy, raczyli przysłać swoje uprzejme życzenia. A jednak chciałbym serdecznie, ażeby mogli wiedzieć o mojéj szczeréj wdzięczności za ich współczucie i życzliwość. Czy byś więc nie mógł, jako mój przyjaciel być tłumaczem tych moich uczuć w którém z pism warszawskich, i wypowiedzieć w mojém imieniu, co w sercu mam wyryte głęboko, a czego drżąca ręka wypisać nie zdolna."

ZE ŚWIATA
NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

O POKARMACH
WEDŁUG ODCZYTU VIRCHOWA.

Dokończenie (*Ob. Nr. 35*).

Dla czegoż jednakże ludzie używają tych środków? dla czego z taką chciwością i uporem kierują swój apetyt ku rzeczom nieprzyjaznym dla organizmu? Gorliwy duchowny, w odpowiedź na takie zapytanie, z oburzeniem wskazuje na grzech i na czarta. Rzeczywiście, prawie niepojętym, trudnym do uwierzenia jest ów gwałtowny, niepohamowany pociąg do trucizny. Ogromna część rolnictwa, handlu, przemysłu, komunikacyi, istnieje wyłącznie dla przysmaków; one to, więcéj niż pokarmy, zbliżają ku sobie odległe narody; byt tysięcy rodzin i całych narodów opiera się jedynie na dostarczaniu przysmaków. Jest w tém rzeczywiście coś demonicznego.

Patrząc trzeźwo na naturę, szukajmy owego demonicznego pierwiastku w człowieku samym, nie na zewnątrz niego. Dokąd sięgają wiadomości nasze, nie tylko u narodów ucywilizowanych, ale u dzikich plemion, u pierwotnych ludów, wszędzie przysmaki były używane. I ja-

każ ogromna ilość ich się nazbierała: od wina aż do kumysu, od kawy do cykoryi, od szczypiorku do cynamonu! Tak rozległe użycie przysmaków dowodzi niewątpliwie, że to nie obłęd, nie grzech, nie przypadek ludzi do ich użycia zmusił, ale że jakaś głębsza przyczyna, jakaś potrzeba niezbędna istnieje.

Ażeby konieczność ową uchwycić, należy rozejrzeć się bliżéj w przysmakach i poznać działanie ich na organizm. Wszystkie środki któreśmy przysmakami nazwali, dadzą się podzielić na trzy gruppy: środki *pobudzające*, które ożywiają chwilowo uśpione czynności rozmaitych przyrządów, *odurzające*, wprost odwrotne, stępiają wrażliwość przyrządu nerwowego i nakoniec środki *chłodzące*.

Środki pobudzające od odurzających najtrudniéj oddzielić: pierwsze wywołują niezwykłą, nadmierną czynność, po któréj, wedle niezmiennego prawa życia, musi nastąpić reakcya — zmęczenie, stan tak blizki odurzenia; naodwrót, środki odurzające w małéj ilości użyte działają pobudząjąco. I rzeczywiście najsilniejsze odurzające środki: opium, alkohol, haszysz pobudzają w małych ilościach a najznakomitsze znowu środki pobudzające: kofeina, nikotyna, w większych dawkach użyte, sprowadzają wreszcie zmęczenie i odurzenie. Wszystkie te środki działają na systemat nerwowy, i to albo bezpośrednio albo przez zmiany składu krwi, czynności gruczołów i t. d.; które dopiero na systemacie nerwowowym się odbijają.

Porównywając wpływ trzech tych szeregów środków na organizm, łatwo pojmiemy, że środki odurzające najzgubniejsze skutki sprowadzają. Usypiają one wprost czynności całego układu nerwowego, albo pewnych jego oddziałów; znoszą chwilowo albo przynajmniéj mocno osłabiają pewne funkcye konieczne dla życia.

Wpływ taki może mieć ważne znaczenie dla organizmu chorego, gdzie choroba na podniesionéj czynności, na powiększonéj drażliwości polega; w stanie zdrowia potrzeba taka nieistnieje i dla tego odurzające środki, dłużéj i w większych ilościach użyte, niszczą do gruntu zdrowie. Czyż potrzeba przywodzić na pamięć straszne obrazy pijaków i używających opium?

Zupełnie inaczéj dzieje się ze środkami chłodzącemi; zmniejszają one ciepło ciała przez wpływ na systemat nerwowy sprowadzają przyjemne uczucie rzeźwości, są one konieczne prawie w pewnych porach roku, przy pewnych zajęciach. Owoce, sałata i podobne potrawy zawierają przeważnie chłodzące kwasy roślinne; tu należą także napoje gazowe, woda z octem gdzieniegdzie przez lud przy pracy używana, kwaśne mleko, maślanka i t. d. Prócz tego chłodzącego działania, kwasy, najważniejsze z pomiędzy środków chłodzących, ułatwiają strawienie mięsa i dla tego kwaśne sosy do mięsa bardzo są odpowiednie.

Środki pobudzające działają albo wyłącznie na przyrządy pokarmowe, albo na cały organizm. Pierwsze pobudzają ruchy w przewodzie pokarmowym, wywołują obfitszą wydzielinę soków trawiących; przysmaki tu należące noszą nazwę przypraw i obejmują znaczną ilość ciał, przeważnie roślinnych, od łagodnéj włoszczyzny do ostrego pieprzu i rzodkwi. Przyprawy tém są konieczniejsze, im więcéj się używa pokarmów i im mniéj drażniące są same te pokarmy; historya uczy, że w czasach największego nadużycia w pokarmach, ostre, korzenne przysmaki najbardziéj były lubione. Smak delikatny i umiarkowanie w słabym tylko stopniu potrzebę tych środków wywołują.

Prawie wszystkie przyprawy pochodzą z królestwa roślinnego—najważniejsza tylko z nich, sól, do królestwa mineralnego należy. Sól ma bardzo ważne znaczenie w organizmie: znajduje się we wszystkich prawie tkankach, we krwi rozpuszczone są znaczne jéj ilości, a sod, składowa część soli, gra rolę ważnego pośrednika przy ogólnéj przemianie materyi. Sól więc po części jest pokarmem; używamy jéj jednak bez porównania w większéj ilości, aniżeli do tego celu potrzeba i używamy jako przyprawy. Sledziom, sardelowi, kawiorom sól właśnie nadaje przedewszystkiem własności pobudzania apetytu; sól przytem jest przedewszystkiem przyprawą dla ludzi, których pokarmy najbardziéj przypraw potrzebują, a dla których inne prócz soli są niedostępne. I ze stanowiska hygienicznego sól bardziéj niż wszystkie inne przyprawy na zalecenie zasługuje: wywiera ona działanie czysto miejscowe i nie zawiera żadnego trującego pierwiastku, jakie się znajdują w przyprawach roślinnych.

Do środków pobudzających, które obudzają większą czynność w całym organizmie, należy przedewszystkiém kawa i herbata, tak rozpowszechnione od kilku wieków. Obie te rośliny zawierają to samo krystaliczne azotowe ciało, zwane kofeiną albo teiną. Długo przypisywano kofeinie znaczenie nie tylko czystego przysmaku: podawano zrazu, że odżywia ona systemat nerwowy, że zastępuje zużyte jego części; już bardzo małe ilości kofeiny jakie w kawie i herbacie przyjmujemy, dowodzą błędności tego mniemania. Następnie sądzono, że kofeina zmniejsza zużycie materyi i ztąd pośrednio poprawia odżywianie, lecz i tego bliższe badania nie potwierdziły; dziś zgodzono się, że jest to trucizna pobudzająca nerwy, jak nikotyna, jak alkohol w małéj ilości. „Przyjaciele" kawy, herbaty, stowarzyszeni w Niemczech pod przewodnictwem gorących apostołów wstrzemięźliwości, ulegają tak samo nagannemu nałogowi, jak pijacy.

Namiętność ta często jest wyłącznie wynikiem złego nawyknienia, nie można jéj jednakże odmówić ważnych podstaw. Rozwój życia towarzyskiego, czyli jak zwykle, choć nie zawsze słusznie się wyrażamy, rozwój oświaty, wyradza potrzebę tych środków. Coraz bardziéj utrudzająca praca, coraz większe wymagania ze strony umysłu ludzkiego, ciężkie i bardzo złożone potrawy, wielka jednostajność nowoczesnego życia,—wszystko to wymaga wyrównania. Otóż środki pobudzające ożywiają z innéj strony organizm, przynoszą nowy bodziec, w skutek czego słabnie wrażenie pierwszym bodźcem wywołane; a z drugiéj strony środki odurzające stępiają wrażliwość systematu nerwowego i wprost osłabiają lub znoszą przykre wrażenia. Tytoń, kawa i herbata, wódka i opium mają właśnie takie znaczenie. Chorobliwy to stan społeczeństwa wymaga użycia tych środków, które działać mają jako lekarstwa, ale zarazem pierwiastki trujące wnoszą do organizmu, Niepodobna usunąć tych nadużyć, dopóki istnieć będą wywołujące je przyczyny; dziś jeszcze muszą być one tolerowane. Na nic się nie zdadzą gorliwe namowy do wstrzemięźliwości, gdzie reforma społeczeństwa jest konieczną. Zmiana kolejna zajęcia i spoczynku, czynności umysłowéj i pracy fizycznéj, czyste, świeże powietrze, pokarm bardziéj jednostajny: oto jedyne i radykalne środki przeciw tym nadużyciom.

Daleko odpowiedniejsze od powyższych środków jest piwo. Jakkolwiek gorzkie, najbardziéj lubiane gatunki piwa zawierają obok alkoholu i lupulin, pierwiastek również trujący, wszakże zawierają obydwa w niewielkich tylko ilościach, a szkodliwy wpływ ich miarkuje się znaczną ilością cukru i innych ogrzewających i odżywiających substancyj; tylko znaczne nadużycie tego trunku sprowadza skutki szkodliwe.

Do téj saméj kategoryi środków należy i rosół. Zawiera on bardzo rozcieńczony roztwór kleju i słabo pobudzających aromatycznych części składowych mięsa; tylko dodanie jajek, mąki, kaszy nadaje rosołowi znaczenie pokarmu; czysty zbliża się w swojem działaniu do kawy i herbaty, jest tylko słabiéj pobudzającym i żadnego trującego pierwiastku nie zawiera. Użycie jednakże rosołu inne niewygody za sobą pociąga; przyrządza się on z mięsa i mięso przy tém traci znaczną część swojéj wartości pożywnéj; jest to więc zbytek, na który pozwolić sobie tylko mogą ludzie majętni. Rodzina zaledwie dostatnia powinna tego zaniechać, bo już w użyciu kawy i herbaty, podobny zbytek popełnia; bogaty może używać rosołu, chory w razie potrzeby mięcgo musi.

Wszystkie środki pobudzające obudzają w organizmie uśpione czynności. Dopóki istnieją siły, dopóty środki pobudzające mogą je wyzwolić; dla tego zdaje się często, jakoby środek pobudzający nową siłę wlał do organizmu, a on umożebnił tylko użycie siły, która już istniała, ale z któréj zmęczony organizm bez nowego bodźca korzystać nie był w stanie. Kieliszek wódki chwilowo zdaje się tak wzmacniać, jak porcya pieczeni. Z tego stanowiska uważane środki pobudzające stają się niejako środkami pracy i umiarkowanie użyte mogą wiele dobrego okazać.

Ale i pokarmy działają także jako środki pobudzające. Mowa tu nie o tych połączeniach pokarmów i przysmaków, jakie gotowe w roślinach się znajdują, albo jakie sztucznie kucharki nasze przyrządzać umieją; po użyciu czystych pokarmów następuje natychmiast ożywienie, nowa zdolność do pracy, podczas gdy strawienie i przejście ich w znacznéj ilości do krwi dopiero po kilku godzinach ma miejsce. To uczucie wzmocnienia zależy albo od przymieszek albo od pobudzającego działania samych pokarmów.

Są to okoliczności, jakie w nowéj nauce o odżywianiu często przepatrzone bywały. Kwestya najodpowiedniejszego pokarmu wskutek zbyt jednostajnego chemicznego zapatrywania stała się raczéj bardziéj zawiłą niż prostszą; dla poznania pobudzających własności pokarmów i przysmaków badanie chemiczne ma tylko podrzędne znaczenie—rozbiór fizyologiczny jedynie rozstrzyga w tym względzie. Każda jednostronność na miejsce istniejącego błędu tylko nowy błąd stawia; nigdzie się to bardziéj nie uwydatniło, jak w nauce o odżywianiu.

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 20 Апрѣля (2 Мая) 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand Mag. Pr. i Adm.

w Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.